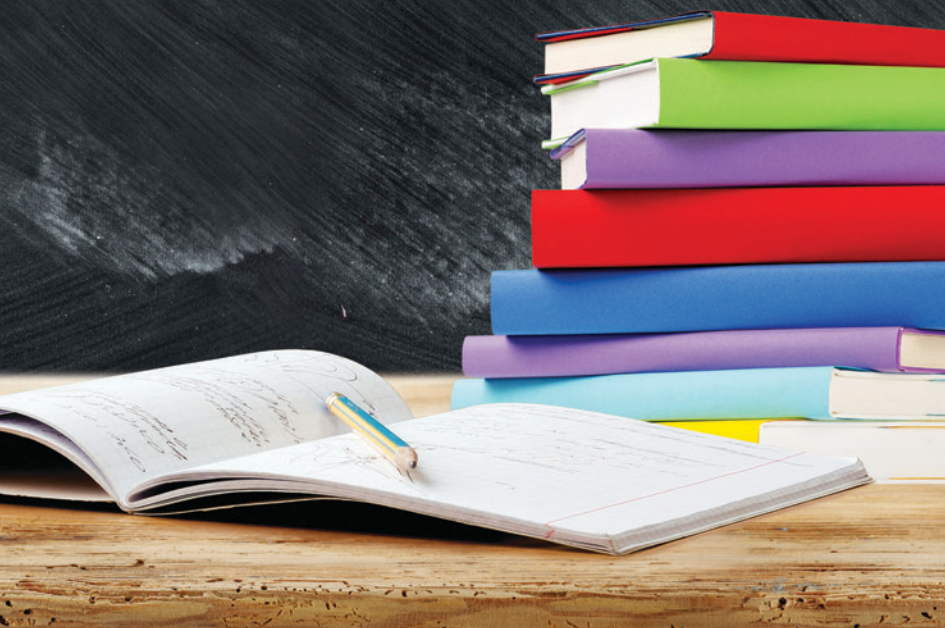


Jesper JUUL

KRYZYS szkoly

Co możemy zrobić dla uczniów,
nauczycieli i rodziców?



Jesper JUUL

KRYZYS szkoly

Co możemy zrobić dla uczniów,
nauczycieli i rodziców?

Współpraca
Knut Krüger



Kup książkę

SPIS RZECZY

1. UCZNIOWIE POD PRESJĄ.....	6
Dzieci chcą się uczyć	9
Prawo do nauki zamiast obowiązku szkolnego	11
Utrata wspólnych wartości.....	13
Samodzielne myślenie zamiast wykonywania rozkazów	15
Wychowawcze zadania szkoły	16
Za co odpowiadają rodzice?.....	17
Co mogą szkolni psychologowie?	20
Czego potrzebują dzieci?	22
2. SZKOLNY TRÓJKĄT	28
Kobiety przetarły drogę dzieciom	29
Jakich uczniów chcą szkoły?	31
Szkoła w defensywie.....	33
Kompetencje w budowaniu relacji.....	34
Na czym polegają kompetencje w budowaniu relacji?	36
Siła definicyjna dorosłych	40
Sztuka dialogu.....	42
Czy media są niebezpieczne?	45
Praca domowa jako zarzewie konfliktów	47
Otwartość i uznanie	49
3. JAK MOŻNA ROZLUŻNIĆ SZKOŁĘ?	
Rozmowa ze szwajcarskim psychologiem Paulem Kimem	51

4. ROZMOWY Z RODZICAMI	66
5. NASZA PORAŻKA	
Z „TRUDNĄ” MŁODZIEŻĄ.....	87
Nadmiar odpowiedzialności.....	90
Czy istnieją „trudne” dzieci, czy tylko my chcemy mieć za łatwo?	96
Cała władza w ręce specjalistów	99
Konieczność otwarcia się.....	100
Posłuszeństwo za wszelką cenę?	102
Obiekty pedagogiczne.....	106
Wiara w siebie a poczucie własnej wartości.....	108
Kiedy współdziałanie i relacje są udane? ...	115
6. KTO TO JEST DOBRY PEDAGOG?	125
Jakie mamy cele wychowawcze?	126
Posłuszeństwo czy zdrowie psychiczne?	127
Autorytet osobisty nauczycieli.....	131
Relacja podmiot-podmiot.....	134
Rzemiosło pedagoga i kompetencje w budowaniu relacji	138
Integralność i współdziałanie	140
7. W STRONĘ SZKOŁY JUTRA.	
Rozmowa z Christopphem Schuhmannem, założycielem Szkoły Życia w Hamburgu....	144

Tytuł oryginału

SCHULINFARKT. WAS WIR TUN KÖNNEN, DAMIT ES KINDERN, ELTERN
UND LEHRERN BESSER GEHT?

Okładka i projekt graficzny

KAROLINA TOLKA

Tłumaczenie

DARIUSZ SYSKA

Copyright © 2013 Kösel Verlag, a division of Verlagsgruppe Random
House GmbH, München, Germany

Copyright © for the Polish edition and translation by Wydawnictwo
MiND, Podkowa Leśna 2014

ISBN 978-83-62445-51-6

Wydawnictwo MiND
ul. Sarnia 21
05-807 Podkowa Leśna
tel./fax 22 729 02 82
tel. 505 455 151
www.wydawnictwomind.pl
mind@wydawnictwomind.pl
Wydanie pierwsze
Skład i łamanie: Mateusz Staszek

[Kup książkę](#)

*Nauczyciele, uczniowie i rodzice powinni razem wyjść na ulicę
i zaprotestować przeciwko obecnemu systemowi szkolnemu.
Jeśli kiedyś do tego dojdzie, wstanę i pójdę razem z nimi.*

Jesper Juul

1. UCZNIOWIE POD PRESJĄ

Współczesna szkoła znajduje się w bardzo głębokim kryzysie. Powszechne przekonanie jest takie, że jego źródłem są uczniowie i ich rodzice.

Kiedy kilkanaście lat temu zacząłem się nad tym poważnie zastanawiać, zwróciło moją uwagę zjawisko presji edukacyjnej – w szczególności w krajach niemieckojęzycznych. Nie bardzo wiedziałem, co o tym myśleć. Ale im więcej miałem do czynienia z dziećmi, młodzieżą i ich rodzicami, tym silniej mogłem odczuć tę presję na własnej skórze. Jest to fenomen, którego nie znałem z Danii ani innych krajów skandynawskich.

Dzisiaj mogę powiedzieć, że nie tylko w krajach niemieckojęzycznych, ale niemal w całej Europie panuje olbrzymia presja na edukację i wykształcenie. Jest ona na dłuższą metę trudna do zniesienia przez dzieci, więc wywołuje reakcję

przeciwną – jak w fizyce: każda akcja ma swoją reakcję – i prowadzi do oporu.

Spółeczny nacisk na konieczność zdobycia jak najlepszego wykształcenia jest nie tylko daremny, ale także skrajnie niezdrowy, ponieważ rzuca się cieniem na relacje międzyludzkie, przede wszystkim między rodzicami i dziećmi. Za każdym razem, kiedy nasze dzieci słyszą, że muszą bezwzględnie zadośćuczynić jakimś wymaganiom szkoły, jeśli nie chcą pogrzebać swojej przyszłości, ginie częśćka ich poczucia własnej wartości.

Poczucie własnej wartości – w odróżnieniu od pewności siebie – to pewna cecha egzystencjalna człowieka. Wyraża się w nim nasza wiedza o tym, kim jesteśmy. Od wewnątrz doświadczamy go jako poczucia, że polegamy na sobie i czujemy się ze sobą dobrze. Z kolei jego brak objawia się niepewnością, wzmożonym samokrytycyzmem i częstym poczuciem winy. Człowiek o zdrowej samoocenie myśli o sobie, że jest w porządku i ma wartość po prostu jako człowiek. W przeciwieństwie do tego pewność siebie bazuje na konkretnych talentach i umiejętnościach, czyli na tym, co potrafimy zrobić najlepiej. Jest to ważne rozróżnienie, dlatego

wróć do niego jeszcze w kolejnych rozdziałach.

Poczucie własnej wartości dziecka cierpi, gdy szkoła wywiera na nim presję. Dlaczego? Dlatego, że w pierwszych latach szkolnych każde dziecko stara się za wszelką cenę uszczęśliwić swoich rodziców i przynosić najlepsze stopnie. I kiedy mu się to nie udaje, czuje się dla nich mniej wartościowe. A przecież jeśli tak się zdarza, nie jest to winą ani jego lenistwa, ani nieposłuszeństwa, ani braku miłości do rodziców.

Presja to także deklaracja braku zaufania do dziecka – tego decydującego czynnika rozwoju poczucia własnej wartości u dzieci i młodzieży. Przy czym nie chodzi o wiarę, że nasze dzieci będą robiły to, czego od nich oczekujemy, ale że będą podejmowały najlepsze decyzje, na jakie je w danym momencie stać – co, oczywiście, zakłada także możliwość popełniania błędów.

Dzieci chcą się uczyć

Niedawno rozmawiałem z jedenastoletnią dziewczynką, która powiedziała, że ma pewien problem, przy którym pewnie nie będę w stanie jej pomóc: „Nie nawidzę mojej szkoły, mimo że uwielbiam się uczyć”. Potem bardzo dokładnie opisała, dlaczego nie cierpi szkoły. Bez wchodzenia w szczegóły mogę tylko powiedzieć, że na jej miejscu czułbym dokładnie to samo. A mimo to każdego dnia rano wychodziła pokornie do szkoły jak pracownik do fabryki.

Zawsze jest dla mnie strasznym doświadczeniem, kiedy widzę wspaniałe, radosne i inteligentne dzieci, które dzień w dzień muszą cierpieć. I nie jest to wina jakichś konkretnych złych nauczycieli, ale ogólnej atmosfery nauczania w szkole, której nie da się określić inaczej niż jako nieludzka. Wiele dzieci mówi, że nie widzi sensu chodzenia do szkoły i że nie chcą się uczyć. W całym swoim życiu nie spotkałem jednak ani jednego dziecka, które naprawdę nie chciałoby się uczyć.

W duńskim Instytucie Kemplera pracowałem ponad dziesięć lat z dorosłymi, którzy przerwali

albo zostali zmuszeni przerwać edukację szkolną: było wśród nich wiele matek samotnie wychowujących dzieci. Kiedy pytaliśmy o ich życzenia, z reguły odpowiadały, że chciałyby na nowo podjąć naukę i zdać egzaminy końcowe. A więc myślały o tym, żeby znowu pójść do szkoły, mimo że miały z nią tak okropne, częściowo nawet traumatyczne doświadczenia. Często brakowało im jednak odwagi, żeby podjąć naukę. Urządziliśmy więc dla nich coś w rodzaju kursu przygotowawczego, żeby wzmocnić je i pomóc w przezwyciężeniu lęków przed szkołą i nauczycielami. Dokładnie w tej samej sytuacji znajduje się wiele dzieci, które codziennie muszą pokonywać swój strach i niepewność, żeby wyjść rano z tornistrem z domu.

Wśród całej tej mizarii szkolnej najbardziej dziwi mnie zachowanie rodziców: niemal bez słowa podporządkowują się wszechobecnej presji i dopasowują do panujących okoliczności. A przecież oni też cierpią z powodu presji szkoły i często na nią narzekają. Mimo to przekazują ją

dalej swoim dzieciom, jakby było to jakieś zjawisko naturalne, z którym nic nie da się zrobić.

Jest to tym mniej zrozumiałe, że obecna sytuacja w szkołach obciąża wzajemne relacje między rodzicami i dziećmi i wystawia ich na niepotrzebny stres. A z relacjami międzyludzkimi jest tak samo jak z komórkami naszego ciała: kiedy zbyt długo funkcjonują w stresie, ich działanie zostaje zaburzone.

Prawo do nauki zamiast obowiązku szkolnego

Napiętą atmosferę wokół szkoły mogłaby ulżyć rezygnacja z reliktu przeszłości, jakim jest obowiązek szkolny, i zastąpienie go **p r a w e m d o n a u k i**. Dzisiaj nie ma już konieczności zmuszania mieszkańców wsi do posyłania swoich dzieci do szkoły. Za to prawo do nauki przywróciłoby poczucie jednakowej godności wszystkim uczestnikom systemu szkolnego.

Interesujący jest fakt, że zachodnie społeczeństwa, których rozwój polegał dotychczas na postępującej demokratyzacji w różnych dziedzinach, teraz coraz więcej stawiają na przymus, za-

kazy i wyciąganie konsekwencji. Niedawno byłem w Słowenii, gdzie rozmawiałem z pewnym doświadczonym i rozsądnym dziennikarzem, który powiedział mi, że najnowsze wytyczne słoweńskiego ministerstwa edukacji zalecają więcej reguł, więcej zakazów, więcej sankcji.

Smutne, że nie tylko politycy, ale również rodzice i specjaliści od edukacji najchętniej przenieśliby się w czasie do przeszłości. Chcieliby powrotu takiej szkoły, jaką znają ze swojego dzieciństwa, ze wszystkimi jej regułami, nakazami i karami. Ale czy ówczesna szkoła była sukcesem? Bynajmniej! Gdyby istniały wtedy testy PISA, zapewne ujawniłoby katastrofalną prawdę.

W 2009 roku po raz pierwszy Szanghaj wziął udział w testach PISA i od razu wypadł na pierwszym miejscu. Od tej pory delegacje polityków i specjalistów od edukacji odwiedzają to miasto, żeby „uczyć się, jak wygląda efektywne szkolnictwo”. Niestety, od tamtejszych oficjeli nie dowiedzą się całej prawdy, na przykład o rosnącej liczbie samobójstw wśród uczniów. Szanghaj to drastyczny, ale bardzo wymowny przykład, że skuteczność w testach PISA nie mówi nic o jakości systemu edukacyjnego.

Jeśli macie jeszcze jakieś wątpliwości, polecam przeczytanie niezwykle interesującej książki Amy Chua *Bojowa pieśń tygrysicy*. Autorka opisuje, w jaki sposób wcielała w życie model wychowania, w który wierzyła. „Nie chcę mieć leniwych amerykańskich dzieci – mówiła – ale pilne dzieci chińskie”. Z pierwszą córką robiła rzeczy, których nie polecałbym żadnemu rodzicowi. Kiedy jednak zaczęła w ten sam sposób wychowywać drugą córkę, tamta pokazała jej figę z makiem, i pani Chua po raz pierwszy w życiu postawiła sobie pytanie: A może każde dziecko jest inne? Może z każdym trzeba postępować inaczej?

Jeśli w rodzinie z dwójką dzieci nie działa metoda równania do pewnego standardu, to co można powiedzieć o szkole pełnej dzieci? Dlatego nie da się już dłużej przechodzić obok tej ważnej prawdy, że czas wreszcie dostrzec i uznać indywiduum!

Utrata wspólnych wartości

Współczesny neokonserwatywny wiatr, który wieje przez Europę i przynosi więcej granic, więcej karania i więcej konsekwencji, da się być może

wytłumaczyć rosnącą niepewnością i dezorientacją społeczeństwa w kwestii tego, co słuszne, a co nie. Utraciliśmy społeczny konsensus w sprawie wartości. Jeszcze pokolenie wcześniej żyliśmy w dość izolowanych społecznościach o wspólnych wartościach. Pomiedzy wychowawcami w przedszkolach i szkołach a rodzicami w domach panowała zgoda co do podstawowych granic i metod wychowawczych. Dorośli mieli więcej pewności siebie w tych kwestiach niż teraz i nawet jeśli nachodziły ich wątpliwości, zawsze mogli znaleźć wsparcie w kręgu rodziny lub przyjaciół. Większość z nich żyła we wspólnym przekonaniu, że dziecko powinno się po prostu podporządkowywać – w razie potrzeby pod naciskiem kar i przemocy.

Pamiętam, jak w wieku dwunastu lat poprosiłem rodziców o zgodę na wyjście z kolegami do klubu jazzowego. Jedyłą odpowiedzią było beznamiętne potrząśnięcie głową: „Nawet nie ma mowy!”. Gdy odważyłem się zapytać o uzasadnienie, usłyszałem: „Takich rzeczy nie robi się w twoim wieku i na tym koniec!”. Potem sprawdziłem, czy mówili prawdę: rzeczywiście, okazało się, że żaden z moich kolegów nie dostał pozwolenia.

Wydaje mi się, że tego elementu wychowania, który wyrażał się kiedyś w zwrocie „się” – na przykład: „tego się nie robi” lub „tak się robi” – nie jesteśmy już w stanie dłużej utrzymać, jeśli zależy nam na w miarę zdrowych relacjach w rodzinie. „Się” było kiedyś narzędziem nacisku wyrażającym moc absolutnego i nieomylnego autorytetu, którego już nie mamy.

Samodzielne myślenie zamiast wykonywania rozkazów

Dzisiejsza szkoła do złudzenia przypomina fabrykę z pionierskich czasów industrializacji. Mówiono wtedy, że trzeba pracować, a nie myśleć. Pytanie tylko, czy nasze społeczeństwo rzeczywiście potrzebuje dzieci, które funkcjonują jak posłuszni robotnicy i robią wszystko, co szef każe? Czy naprawdę zależy nam, żeby wchłonęły jak najwięcej wiedzy, którą potem na komendę wypływają z siebie na teście, a następnie zapomną? Jeśli zapytamy o to specjalistów od zasobów ludzkich w firmach, okaże się, że tacy ludzie nie są już dzisiaj potrzebni. Firmy nie chcą posłusznych wykonawców rozkazów, ale odpowiedzialnych i silnych

osobowości, które potrafią pracować w sposób kreatywny i podejmować samodzielne decyzje. Potrzebują pracowników, którzy potrafią myśleć samodzielnie i niestandardowo i nie wtapiają się w tłum. Tylko tacy ludzie są w stanie sprawić, że nasze społeczeństwo nie tylko przetrwa, ale będzie mogło żyć dobrze.

Mimo tego wciąż prowadzimy niekończące się dyskusje na temat coraz surowszych reguł w szkołach oraz sankcji za ich przekraczanie, czyli na temat budowania opresyjnego systemu opartego na karach.

Wychowawcze zadania szkoły

Zarówno faktycznie jak i prawnie szkoły ponoszą odpowiedzialność za osobisty i społeczny rozwój uczniów. Oznacza to, że podobnie jak na żłobkach i przedszkolach ciążą na nich zadania wychowawcze.

W Skandynawii dzieci w wieku od roku do piętnastu lat spędzają średnio dwadzieścia sześć tysięcy godzin w instytucjach edukacyjno-wychowawczych, które można by nazwać instytucjami przymusowego pobytu. Być może to wyrażenie wyda się komuś dziwne, ale używam go świadomo-

mie, żeby podkreślić, że nie od dzieci zależy, czy do nich trafią, czy nie. Muszą po prostu w nich być, nie mając wpływu na wybór kolegów, wychowawców ani atmosfery pedagogicznej, jaka w nich panuje. To jednak jeszcze nie wszystko. W ciągu kolejnych czternastu lat będzie się od nich oczekiwało tylko jednego: aby posłusznie wykonywały polecenia. O takim posłusznym dziecku mówi się, że „dobrze funkcjonuje w grupie”.

W tak urządzonym społeczeństwie pedagogzy i nauczyciele są równie odpowiedzialni za dzieci, jak rodzice, ponieważ spędzają z nimi tyle samo albo nawet więcej czasu. Kiedyś nauczyciele – a sam jestem jednym z nich – zadawali sobie pytanie: czy mamy tylko uczyć, czy jeszcze wychowywać? W istocie każdy, kto przebywa z dziećmi, mimowolnie je wychowuje. Można spędzić z dzieckiem tylko pięć minut i przekazać mu pewien wzór zachowania, co może mieć skutek wychowawczy niezależnie od tego, czy padną przy tym jakieś słowa, czy nie.

Za co odpowiadają rodzice?

W moich oczach, najważniejszą rolą rodziców jest empatyczne towarzyszenie dziecku i, oczywi-

ście, ogólna troska o jego byt. Wiemy dzisiaj, że dzieci poniżej piątego roku życia nie potrzebują tak naprawdę żadnego wychowania, lecz przyjaznego, serdecznego wsparcia. Nie ma także najmniejszej wątpliwości, że dzieci potrzebują pewnego rodzaju przewodnictwa, które często zrównuje się dzisiaj z wychowaniem. Dzieci rozwijają się źle w rodzinach, w których nie mogą na takie przewodnictwo liczyć.

Decydujące pytanie brzmi, oczywiście, jak takie przewodnictwo ma wyglądać? Model wychowawczy sprzed stu lat, oparty na rodzicielskim autorytecie wspieranym przez krytykę, korygowanie, kary i przemoc, uległ z czasem modyfikacji i humanizacji. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat walczyliśmy, żeby uniknąć błędów własnych rodziców. Badaliśmy różne możliwości, eksperymentowaliśmy, wymienialiśmy się ideami i doświadczeniem. Pod tym względem to, co dzieje się w rodzinach, jest dużo bardziej twórcze, niż to, co dzieje się w szkołach. Szkoły często ułatwiają sobie życie, zrzucając całą winę za swoje niepowodzenia na dzieci, ewentualnie na ich rodziców.

Gdziekolwiek jestem, zauważam, że rodzice znacznie wyprzedzają nauczycieli, pedagogów i psychologów, jeśli chodzi o kreatywne podejście do dzieci i poczucie odpowiedzialności. Ci ostatni mają dostęp do najnowszych osiągnięć nauki, więc powinni towarzyszyć rodzicom na tej drodze.

Jeśli ma dojść do równorzędnej współpracy ze szkołą, rodzice muszą prowadzić stały dialog z dziećmi, a z drugiej strony posiadać pewną zręczność w rozmowach z nauczycielami. Przede wszystkim powinni wiedzieć, że nauczyciele się ich obawiają. Dlatego byłoby dobrze, gdyby w rozmowach z reprezentantami szkoły podkreślali, że nie mają zamiaru stawiać zarzutów ani krytykować, lecz chcą prowadzić konstruktywny dialog.

W istocie wszyscy pragniemy dobrych relacji z nauczycielami, bo wiemy, że skorzystają na tym nasze dzieci. Zanim jednak przystąpimy do wspólnego dialogu ze szkołą, musimy dokładnie wiedzieć, jak one się w niej czują. Większość rodziców uważa, że dobrze to wie, bo codziennie

przepytuje swoje pociechy: „No, jak tam było w szkole?”. Takie stereotypowe pytania nie są jednak przejawem prawdziwego zainteresowania, a dzieci odpowiadają na nie niechętnie, ograniczając się najczęściej do półsłówek. Tylko rodzic, który spędzi pół godziny na rozmowie z dzieckiem, ma szansę dowiedzieć się, co naprawdę działo się w szkole, a potem podjąć sensowny dialog z nauczycielami.

Co mogą szkolni psychologowie?

Myślę, że większość dorosłych przeżywa mniej więcej ten sam dylemat: nie jesteśmy przygotowani na towarzyszenie naszym wspaniałym dzieciom. Kiedy ja byłem mały, na widok nauczyciela przemykałem pod ścianą z opuszczoną głową. Dzisiejsze dzieci patrzą nam prosto w oczy i mówią: „Ja żyję. Masz z tym jakiś problem?”.

Niemieccy psychologowie szkolni twierdzą, że mniej więcej połowa uczniów szkół podstawowych w Niemczech potrzebuje terapii. Takie twierdzenie jest dla mnie zupełnie nie do przyjęcia. Rodzi się od razu pytanie: czym właściwie jest psychologia szkolna i do czego jest zdolna? Wie-

my, że ci psychologowie pracują dla szkoły – wolałbym jednak, żeby pracowali ze szkołami.

Kiedy jakiś uczeń nie „funkcjonuje” tak, jakby chcieli tego dorośli, to próbuje się go „naprawić”. Coraz częściej psychologowie szkolni próbują jednak innej metody: wchodzi do klasy i pracują z nauczycielem, wspierając go w taki sposób, żeby dzieci nie potrzebowały indywidualnej terapii. Tak dzieje się, na przykład, w Danii. Może nie zyskują przez to sympatii kadry pedagogicznej, ale ich praca przynosi znakomite rezultaty.

Zadziwia mnie zawsze, że w wypadku konfliktu dziecka ze szkołą osiemdziesiąt procent rodziców staje po stronie szkoły. Pod tym względem niewiele zmieniło się od czasów mojego dzieciństwa. Kiedy ja opowiadałem swoim rodzicom o jakimś problemie w szkole, zawsze słyszałem, że mam „opowiedzieć im całą prawdę”. A więc mówiłem im wszystko, chociaż wiedziałem z doświadczenia, że lepiej byłoby milczeć. Zanim doszedłem do końca, zawsze padało pytanie: Co zrobiłeś, że nauczyciel zachował się w taki, a nie inny sposób? Dla moich rodziców było jasne, że to ja ponoszę winę za konflikt.

Czego potrzebują dzieci?

Chciałbym zaproponować wszystkim rodzicom, żeby dwa razy w roku – przed feriami zimowymi i przed wakacjami – urządzili w domu świąteczny obiad, w czasie którego powiedzą swoim dzieciom coś takiego: „Kochany Janku (albo kochana Zosiu), z całego serca dziękujemy ci za to, że chodzisz do szkoły. Mamy nadzieję, że czegoś się w niej nauczyłeś i że sprawiło ci to frajdę. Wiemy, że nie każdy dzień był radosny, i dlatego dziękujemy ci za to, że z nami współdziałałeś”.

Dlaczego nasze dzieci nigdy nie słyszą od nas takich podziękowań? Dlatego, że wszystko, co mamy im do powiedzenia na temat szkoły, to jak ważne jest w życiu dobre wykształcenie – i że bez niego nie ma szansy na sukces. Tylko że to akurat jest jednym wielkim kłamstwem – i powinniśmy się wstydić, że opowiadamy im takie banialuki.

Jeśli spojrzymy na statystyki, to okaże się, że osiemdziesiąt procent najbardziej kreatywnych ludzi, którzy odegrali ważną rolę w życiu społecznym, naukowym czy politycznym, miało wielkie problemy w szkole. Byli dyslektykami albo wręcz

nie dokończyli edukacji szkolnej. I w to akurat większość rodziców nie chce uwierzyć. Wydaje im się, że przyszłość naszego społeczeństwa należy do wzorowych uczniów z pierwszej ławki, którzy są zawsze przygotowani do lekcji i mają odrobione wszystkie prace domowe, a do tego grzecznie mówią „dziękuję” i „proszę”. Gdyby tak rzeczywiście było, nasza przyszłość nie wyglądałaby różowo.

Dlaczego tak uważam? Dlatego, że ponad pięćdziesiąt lat badań pedagogicznych na uniwersytetach w Londynie, Sztokholmie, Kopenhadze i Berlinie pokazało, że właśnie ci wzorowi uczniowie, te grzeczne dziewczynki i chłopcy z pierwszej ławki, najbardziej potrzebują pomocy. Twarde dane, które można zaczerpnąć z ministerstwa zdrowia, wskazują, że wiedzie im się dobrze do trzydziestu pięciu, maksymalnie do czterdziestu lat, a potem zapełniają przychodnie zdrowia psychicznego. Wystarczy spojrzeć na twarde dane ministerstwa zdrowia dotyczące depresji, wypalenia zawodowego, uzależnień.

Dlatego proponuję rodzicom: kiedy wszystko idzie dobrze, świętujcie

co roku i dziękujcie swoim dzieciom za ich wkład i naukę w szkole. „Kochana Zosiu, kochany Janku, wiem, że posyłając was do szkoły, żądamy od was czegoś niemal niemożliwego, a mimo to uczycie się i wszystko jakoś się kręci. Dziękujemy wam za waszą ciężką pracę”. Coś takiego byłoby olbrzymią motywacją dla dzieci.

Poza tego rodzaju uznaniem i docenieniem dzieci potrzebują także rodzicielskiej lojalności, szczególnie wtedy, gdy pojawiają się problemy w szkole, nauczyciele się skarżą i tak dalej. Nie oznacza to, że trzeba zajmować pozycję wroga szkole lub nauczycielom, ale być dla dziecka wsparciem: „Jestem po twojej stronie. Po drugiej stoi olbrzymia instytucja, która posiada wielką władzę, ale możesz być pewien (pewna), że zawsze będę po twojej stronie. Nie będę wracał z wywiadówek i robił ci wyrzutów, że się nie uczysz, że nie wykorzystujesz swoich możliwości i tak dalej. Kiedy miałeś siedem lat, zapytałeś mnie, dlaczego trzeba iść do szkoły, a ja odpowiedziałem ci, jak ważne w życiu jest wykształ-

cenie. Mam zaufanie do twojej inteligencji i jestem pewien, że dzisiaj sam (sama) już to wiesz. Będę do końca stał przy twoim boku”.

Większość tak zwanych problemów z nauką u dzieci nie ma nic wspólnego ze szkołą. Jeśli się wykaże odrobinę cierpliwości i porozmawia z nimi o ich życiu, okaże się, że radość z nauki nie jest dla nich czymś zupełnie niemożliwym. Natomiast wywieranie jeszcze większej presji całkowicie mija się z celem.

Pewna matka powiedziała mi kiedyś szczerze: „Pana słowa działają na mnie uspokajająco. Zawsze myślałam dokładnie tak samo i teraz już wiem, co powinnam robić, a przede wszystkim, czego nie robić. Nie będzie to łatwe, ponieważ wszyscy oczekują, że będziemy narzekać na naszego syna i wywierać na niego presję tak samo jak cała reszta. Gdy tego nie robimy, jesteśmy uważani za egoistów”. Pomyślałem sobie wtedy, że kiedy człowiek traktuje siebie (albo swoje dziecko) trochę poważniej, to zaraz staje się egoistą.

Dzieci potrzebują dorosłych, którzy mają czas, żeby pobyć z nimi tu

i teraz. My, rodzice, stale jesteśmy zajęci przyszłością. Kiedy nasze dzieci mają cztery lata i chętnie się uczą, my już myślimy o uniwersytecie, na którym będą studiować. Jaki ma to na nie wpływ? Czują się bardzo samotne, jeśli nie ma nikogo, kto pobędzie z nimi tu i teraz. Wydaje im się wtedy, że nikt nie chce z nimi być.

Wychowanie zawsze dąży do pewnych celów i zadań. Dorośli mają na oku pewne efekty wychowawcze i bez przerwy informują dziecko, co powinno w sobie zmienić, żeby kiedyś zapracować na wartościową przyszłość. Tym samym otrzymuje ono następujący przekaz: „Troszczymy się o twoją przyszłość, ale niespecjalnie interesuje nas to, co dzieje się z tobą w teraźniejszości”. Oczywiście, nie są to słowa, które jakikolwiek rodzic wypowiedziałby na głos, ale tak czują dzieci. Co chwila występuje jakiś dorosły ze swoim planem i mówi: „Musimy zrobić to i to, jest to dobre dla ciebie, więc zaczniemy od tego i tego” – a biedne dzieci muszą brać w tym udział.

Dlaczego tak rzadko udaje nam się być z dzieckiem tylko dla niego samego? Często jesteśmy w stanie to zrobić dopiero wówczas, gdy nastąpi jakaś kryzysowa sytuacja lub zdarzy się nieszczęście. Ludzie, których spotka nieszczęśliwy wypadek, nigdy nie skarżą się, że powinni byli więcej czasu spędzać w biurze. Żal im raczej tego, że nie troszczyli się bardziej o swojego partnera lub partnerkę, o dzieci albo przyjaciół – i że nie potrafili być bardziej obecni.

Jednak każdy z nas może zmieniać swoje życie. Rodzice mogą zdecydować, że będą bardziej interesować się teraźniejszością swoich dzieci i częściej cieszyć wspólnym byciem razem. Kiedy dzieci to poczują i dostrzegą radość w oczach matki lub ojca, łatwiej będzie im stawić czoło przeciwnościom w szkole. Tylko autentyczne zainteresowanie rodziców jest w stanie wesprzeć dzieci w obliczu presji, której poddawane są każdego dnia.

2. SZKOLNY TRÓJKĄT

Szkolna droga każdego dziecka przebiega najlepiej – zarówno z merytorycznego, jak i społecznego punktu widzenia – kiedy istnieje stała komunikacja między rodzicami, dziećmi i nauczycielami. Niestety, w Europie zdarza się to bardzo rzadko. Nawet w krajach skandynawskich, które grają w pewnym sensie przodującą rolę, jest jeszcze wiele do zrobienia.

W Norwegii pracuje się nad nowymi formami kształcenia nauczycieli, których podstawą ma być międzynarodowe studium dotyczące kompetencji nauczycielskich. Zgodnie z nim, kadra nauczycielska potrzebuje czterech podstawowych kompetencji.

- Kompetencje akademickie
- Kompetencje dydaktyczne
- Kompetencje kierownicze
- Kompetencje w budowaniu relacji

Badacze nie wartościują tych umiejętności. Tradycyjnie w szkołach najwyżej ceni się kompetencje akademickie, czyli merytoryczną wiedzę nauczyciela. To kolejny dowód, że szkoła od zawsze służyła bardziej społeczeństwu niż dzieciom.

Sześćdziesiąt lat temu w Norwegii dzieci chodzili do szkoły tylko trzy razy w tygodniu. W pozostałe dni i popołudniami zostawały z rodzicami w domu, pomagały w polu albo wypływały z ojcem na połów. Można by zadać pytanie: gdzie uczyły się więcej, w szkole czy w domu? A może połączenie obu tych rzeczy miało tak dobry wpływ?

Dzisiejsi politycy, szczególnie w Niemczech, Francji, Austrii czy Szwajcarii, chcieliby, żeby dzieci miały do czynienia tylko z akademikami. Kiedy się ich słucha, można odnieść wrażenie, że najbardziej życzyliby sobie, żeby w szkołach uczyli sami profesorowie uniwersyteccy. To jednak właśnie byłoby zupełną tragedią.

Kobiety przetrwały drogę dzieciom

Szkoła jest prastarym instrumentem sprawowania władzy i dopiero w latach siedemdziesią-

tych pojawiły się pewne ruchy demokratyzujące, które poprzedził w pewnym sensie ruch wyzwolenia kobiet. W czasie mojego dzieciństwa kobiety nie zabierały głosu w ważnych sprawach i traktowano je trochę jak dzieci: można było na nie patrzeć, ale nikt ich nie słuchał. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych powoli miały już dość roli bezwolnego obserwatora, zaczęły się wtrącać i domagać wysłuchania. Mniej więcej od lat dziewięćdziesiątych podobnie postępują dzieci i młodzież: nie chcą już siedzieć cicho i spokojnie. Spokój to wartość przede wszystkim dla mężczyzn. Gdy w rodzinie panuje spokój, mężczyzna może uważać, że panuje nad sytuacją. Tak było kiedyś, ale te czasy już minęły.

Demokratyzacja szkół w Danii w latach dziewięćdziesiątych doprowadziła do różnych napięć, ponieważ powstały rady szkolne, do których mogli być wybierani także rodzice. Już wtedy wiedziałem, że w ciągu dziesięciu lat zabraknie do nich kandydatów, bo rodzice z zasady nie chcą mieszać się w sprawowanie kontroli nad szkołą. Nie są sfrustrowani brakiem władzy, ale faktem, że jako rodzice nie czują się przez szkołę traktowani poważnie.

Stary podział ról już się nie sprawdza. Kiedyś dorośli przychodzili do szkoły i grali rolę nauczycieli, a dzieci były uczniami. Zmieniło się w roku 1967, gdy zniesiono kary fizyczne. Jednak w wielu wypadkach uczniowie wciąż nie mogą liczyć na komunikację z nauczycielem na równej płaszczyźnie. Szkoły nie chcą zrezygnować ze swojej dominującej pozycji. Z drugiej strony, nauczyciele skarżą się, że nie są traktowani przez uczniów z należytym szacunkiem.

To temat często poruszany przez nauczycieli i zarządy szkół. Często jestem pytany przez nich, co mają powiedzieć rodzicom w takiej sytuacji? Kiedyś w trakcie takiej dyskusji o braku szacunku wstał pewien stary pedagog i powiedział: „Wcześniej wcale nie było lepiej. Uczniowie nie mieli więcej szacunku, tylko bardziej się bali. Jednak te czasy, na szczęście, już minęły”.

Jakich uczniów chcą szkoły?

Dzisiaj najczęściej jest tak, że dzieci tylko na samym początku nie czują lęku przed szkołą. Szkoła wciąż obstaje przy swojej władczej pozycji nad uczniem. Obserwuję niepokojące zjawie-

ska, jak obszar tolerancji coraz bardziej się zawęża. W latach dziewięćdziesiątych żartowano, że szkoły chciałyby mieć uczniów sformatowanych do rozmiaru A4. Dzisiaj byłby to rozmiar A5, a jeśli pójdzie tak dalej, to być może za kilka lat będziemy mówili o formacie wizytówki. Przy tym wszystkim, na szczęście, mamy bardzo dużo szkół o specjalnym charakterze, w których różnorodność jest mile widziana i uznawana za wartość dla społeczeństwa.

Badacze zajmujący się szkołą doszli do wniosku, że jest ona znakomitą instytucją dla mniej więcej piętnastu procent uczniów. To są ci mili, dobrze wychowani chłopcy i dziewczęta z pierwszej ławki, o których mówiłem wcześniej. Szkoły lubią ich najbardziej, ponieważ nie robią hałasu i nie sprawiają kłopotów. Dużo gorzej radzą sobie z dziećmi obdarzonymi temperamentem i głośno wyrażającymi swoje zdanie. Badacze, o których wspomniałem, nie uwzględnili jednak, że właśnie ci niesprawiający kłopotów uczniowie po jakimś czasie nierzadko przejawiają zachowania autodestrukcyjne. Na przykład, wśród dziewczynek częste są zaburzenia odżywiania, jak bulimia czy anoreksja.